



debiutantki

RZĄDZE CIAŁEM

W balecie nawet mały paluszek
musi wyrażać uczucie

z tancerkami

BEATĄ KSIĄŻKIEWICZ i NATALIĄ WAWRZYNIĄK

rozmawia AGA KOZAK

zdjęcie BART POGODA

Miałam wielkie szczęście, że moja naturalna ekspresja taneczna została dostrzeżona przez moją mamę – mówi Beata Książkiewicz. – I że ona tak pokierowała moim rozwojem, iż mogłam zostać artystką baletu. Dzieci trzeba obserwować, żeby ich nie zaszufladkować i na przykład nie spełniać swoich marzeń. Mama zauważyła, że tańczę, słysząc każdy dźwięk muzyki, a miałam trzy-cztery latka. Ja też, patrząc na dzieci, zauważam te, które mają taką wewnętrzną motywację i naturalną potrzebę tańca.

Na co trzeba zwrócić uwagę?

B.K.: Często dziecko, słysząc muzykę, improwizuje i nie krępuje się tego. Sprawia mu to radość. Większość dzieci ma to coś, co niedostrzeżone ginie. A można to rozwijać od wczesnego wieku! Trafiłam jako sześciolatka do ogniska baletowego prof. Hildebrandt-Pruskiej w Poznaniu, a potem do szkoły baletowej. To najlepsza droga, dlatego też, tworząc 20 lat temu swoją prywatną szkołę baletową, zdecydowałam, że będą do niej przyjmowane dzieci od trzeciego do czwartego roku życia. To jest taki cudowny, złoty wiek dziecka, dobry moment, żeby rozpocząć.

»

Czy można zostać tancerką bez zaangażowania rodziców?

B.K.: Dziecko samo się nie przyprowadzi do szkoły. W tym zawodzie potrzebne jest tak wiele, żeby dojść do sukcesu. Jeżeli nie idzie w parze i pracowitość dziecka, i oddanie rodziców – to to się może nie udać.

Często małe dzieci zaspokajają marzenia rodziców...

B.K.: Ale jeśli zabraknie im takiej prawdziwej wewnętrznej motywacji, to odpadną. Bo kiedy człowiek dojrzewa, dorasta, jest tyle pokus dookoła. A tu odpadają kino i miłe wyjścia z koleżankami.

N.W.: U mnie też rodzice dostrzegli tę kielkującą pasję i miłość do tańca. Jako małe dziecko z koleżankami, kuzynkami urządzałam przedstawienia i ciągle chciałam w nich tańczyć. Akurat tak się złożyło, że w Poznaniu została właśnie przez panią dyrektor otwarta Szkoła Tańca i Baletu „Fouette”. Rodzice znaleźli ogłoszenie w gazecie i stwierdzili, że spróbujemy. Miałam wtedy sześć lat, byłam więc starsza niż dzieci, które teraz przyjmowane są do naszej szkoły. Oczywiście, że czasem chciało mi się wyjść z koleżankami, zamiast jeździć na próby. Zajęcia odbywały się trzy-cztery razy w tygodniu po południu, w dzień chodziłam normalnie do szkoły.

Czy ktoś w twojej rodzinie miał coś wspólnego z tańcem?

N.W.: Babcia bardzo chciała, chodziła nawet przez chwilę na gimnastykę artystyczną, ale mieszkała poza Poznaniem. U nas w domu zawsze była muzyka. I rodzice zawsze mnie do tańca zachęcali. Kiedy pojawia się jakiś kryzys, rodzice często mówią dziecku: „Jak nie chcesz, to nie!”. Moi zawsze mnie wspierali i byłam wychowana w takim duchu, że jak coś się zaczęło, to jakiś etap się powinno zakończyć. Dzięki nim pokonywałam te moje zwątpienia i jak tylko je przechodziłam, to sobie nie wyobrażałam, żebym mogła robić w życiu coś innego.

B.K.: U mnie w rodzinie w pokoleniu pradziadka była primabalerina opery lwowskiej. Mój tato świetnie śpiewał i tańczył, bo jego babcia była nauczycielką i dyrektorką takiej dużej szkoły wiejskiej pod Poznaniem, gdzie sama tworzyła spektakle teatralne: pisała libretta, szyła kostiumy. Tato od najmłodszych lat grywał wszystkie męskie role. Pamiętam ten magazyn kostiumów z domu dziadków – przebierałam się za krasnoludki. Mama z kolei też zawsze interesowała się sztuką, teatrem i świetnie tańczyła. Rodzice wspierali mnie, ale starsze pokolenie patrzyło sceptycznie, bo było coś pejoratywnego w zawodzie baletnicy. Wiem, że mama dosyć długo ukrywała przed dziadkami, że zaprowadzi mnie do szkoły baletowej. Z czasem wszyscy się z tym pogodzili.

Miała pani tutu?

B.K.: W moich czasach nie było tak pięknych różowych kostiumów, tiulowych spódniczek. To nie one, ale sztuka nas do siebie pociągała. A potem następowało trudne zetknięcie już z pracą w sali baletowej – czasami dla dziecka nie do końca jest to zrozumiałe, bo ono przecież przychodzi tańczyć, a tu nagle się okazuje, że jest ustawiane do drażka – takie były wcześniej metody – trzeba stać półtorej godziny i napinać mięśnie. Nie wszystkie dzieci to wytrzymały.

U pani w szkole też się tak pracuje?

B.K.: Ze względu na malutkie dzieci – inaczej: chcemy im zapewnić radość tańca. Nasz program pozwala im się rozwijać, pokonywać różne trudności, poznawać nowe elementy, ale jednocześnie cały czas pozwalamy dzieciom na realizowanie się w tańcu w sposób kreatywny. Natalia trafiła więc do trochę innej szkoły niż ja.

N.W.: Najważniejsze było przekazanie miłości do tańca, więc to właśnie robiłyśmy na zajęciach, tańczyłyśmy. Oczywiście było to podbudowane nauką techniki baletowej, ale w sposób dostosowany do wieku. Moje pierwsze zetknięcie się z baletem było wspaniałe!

Co było dla pani w tym tańcu takiego wspaniałego, że przeżyła pani te godziny przy tym drażku?

B.K.: Jakaś magia, trudno to określić. Przede wszystkim cieszyła mnie muzyka poważna i wyrażanie tej muzyki przez ruch, to, że można władać własnym ciałem świadomie. I to, że przez ciało można też wyrażać emocje związane z muzyką, z nastrojem. Kiedy wejdzie się na ten wyższy etap wtajemniczenia, technika jest tylko drogą do wyrażania pewnych uczuć na scenie. Warsztat jest ważny i ważna jest precyzja ruchu, ale technika sama w sobie nie jest sztuką.

N.W.: Ja od małego chodziłam z rodzicami do teatru, zachwycałam się tym. Dlatego chciałam tańczyć. A dzieci teraz, nawet jak nie mogą pójść do teatru, to najlepsze spektakle obejrzą na YouTube. To też inspiracja i motywacja! Potem owo władanie ciałem stało się też moją pasją. Pokonywanie własnych barier, granic. Dla młodych tancerzy techniczne wyzwania – podniesienie wyżej nogi, zakręcenie większej liczby piruetów – też są bardzo satysfakcjonujące, bo naocznie mogą zobaczyć efekt swojej pracy.

RODZICE WSPIERALI MNIE, ALE DZIADKOWIE PATRZYLI SCEPTYCZNIE, BO BYŁO COŚ PEJORATYWNEGO W ZAWODZIE BALETNICY

Pani Beato, chciałabym zapytać o szkołę w Moskwie.

B.K.: Studiowałam w GITIS-ie, czyli Instytucie Sztuki Teatralnej. To jest jedna z najstarszych uczelni w Europie, która ma znakomity wydział choreografii i pedagogiki baletowej. Spędziłam tam siedem lat – skończyłam studia, potem napisałam doktorat. Moimi mistrzami byli najlepsi, na przykład Raisa Struczkowa, primabalerina Teatru Bolszoi, profesor Tamara Tkaczenko, specjalistka tańca charakterystycznego. Raisa Struczkowa uczyła nas, że w balecie nawet mały paluszek musi wyrażać uczucie. Pamiętam do dziś jej każdy arabesque, gdzie wydłużała się za palcami dłoni, jakby sięgały czegoś... i tym ozdobnikiem snuła opowieść. Jako doktorantka odbyłam staż w Teatrze Bolszoi. Widziałam Maję Plisiecką przy drażku w ostatnich jej latach, widziałam legendarną Galinę Ułanową podczas prowadzenia prób z solistami, m.in. Jekateriną Maksimową i Władimirem Wasiljewem. Zrozumiałam też wtedy, że nauczanie sztuki baletu to jest wielka misja, wielka odpowiedzialność, która spoczywa na pedagogu, bo może on stać się albo mistrzem, autorytetem, albo złą kartą w życiu ucznia.

Czy to nie jest przypadkiem dość bezlitosny zawód?

B.K.: Przede wszystkim do tego zawodu powinno się wybierać dzieci z idealnymi warunkami fizycznymi, predyspozycjami anato-

micznymi. Wszystkie pozycje baletowe są wykonywane na bardzo wykreconych nogach. Jeśli dziecko ma akurat taką budowę bioder, która nie pozwoli osiągnąć w przyszłości tych wykreconych pozycji, to nie powinno trafiać do baletu. Nie powinno się popełniać błędów na początku drogi, przy przyjmowaniu dzieci do profesjonalnych szkół. Bo to może wyrządzić krzywdę fizyczną dziecku.

Taniec to też hart ducha. To umiejętności, które dzieci nabywają od najmłodszych lat – pokonywanie trudności, uczenie się wiary w siebie. Rodzice często podkreślają, że dzieci, które były bardzo wstydlive, rozkwitają w szkołach baletowych.

Ale też się załamują. Ostatnio głośno było o samobójstwie uczennicy.

B.K.: Choć dyscyplina, której uczymy, jest trudna, to metody nie mogą być przemocowe. Nie jest tajemnicą poliszynela, że tacy pedagodzy istnieją – i w sporcie, i w szkołach baletowych, i w zwykłych liceach. Nie każdy człowiek może być nauczycielem. Trzeba do tego zawodu mieć nie tylko kwalifikacje, ale też predyspozycje! Cierpliwość choćby, bo dziecko ma prawo nie wiedzieć, zapomnieć, nie zrozumieć. Mamy być wsparciem. Zastraszanie i metody, które budują niepewność, mogą odnieść przeciwny skutek. Taki toksyczny nauczyciel nie powinien być dopuszczany do szkoły – ogromna jest tu więc odpowiedzialność całej kadry. Dzieci i rodzice muszą sygnalizować, że coś jest nie tak. Nie musimy kopiować starych metod „nauczania”, bo nie ukrywam, że tak też nas kiedyś uczono. Spotkałam na swojej drodze i wspaniałych nauczycieli, i tych toksycznych. Poniżanie, wyszydzenie, krzyk były ich metodami. A to nie ma nic wspólnego z dyscypliną. Dzieci kochają dyscyplinę: zasady, granice, czują się bezpiecznie, wiedząc, co jest dobre, a co złe. Ale nie przemoc – fizyczną czy psychiczną. Takie postępowanie nie jest niepedagogiczne, jest niehumanitarne!

A nasza sztuka ćwiczy nie tylko ciało, ale także duszę i charakter. Uważam, że dzieci, które mogą jej dotknąć, lepiej pokonują życiowe problemy w przyszłości. Stąd mój pomysł na akcję „Dzieci tańca”. Nie wszystkie dzieci mogą realizować się w tej pasji, mając talent. Dzieci z domów dziecka, ze środowisk zagrożonych – tam też przecież są przyszli tancerze! W sali baletowej nie widać różnic społecznych. Wystarczy dobrze pracować, być zdolnym, chcieć dążyć do sukcesu. W naszą akcję zaangażowało się mnóstwo osób dobrej woli, między innymi Krystyna Mazurówna, Ewa Wycichowska, obecne pokolenie młodych tancerzy i choreografów. Ale też osoby ze świata aktorskiego, które jakiś kawałek swojej historii związały z tańcem: Mateusz Damięcki, Paulina Damięcka, moja córka Weronika Książkiewicz, Kasia Bujakiewicz... Chcemy podczas warsztatów wyłonić dzieci, które mają szansę na sukces w tym zawodzie. Chcemy, by trafiły do profesjonalnych ośrodków, by miały możliwość osiągnąć w przyszłości profesjonalny poziom, stać się zawodowymi tancerzami, artystami baletu. Żeby miały nie tylko szansę na ciekawe życie zawodowe, ale też szansę na lepsze życie w ogóle. Zbieramy fundusze na stypendia edukacyjne. Edukacja tancerza to wieloletni proces, przynajmniej dziewięcioletni, a my chcemy, żeby już we wrześniu pierwsze dzieci rozpoczęły edukację. Będziemy tak długo pomagać, aż nasi podopieczni się usamodzielnią.

Taniec tańcem, ale słysząc, że pani ma misję edukacyjną.

B.K.: Edukacja przez taniec jest laboratorium twórczym. Cieszę się też, że Natalia, która była moją uczennicą i bardzo dobrą tancerką zawodową, już od kilku lat stawia kroki też jako pedagog tańca.

I to się wzięło z tej szkoły po godzinach?

N.W.: W gimnazjum i liceum kończyłam zajęcia w szkole o godzinie 15, a na 19.15 szłam na zajęcia z tańca. Zostawałam tam do 21.30. Mieszkałam poza Poznaniem, więc musiałam dojeżdżać. Mój balet to też poświęcenie rodziców, którzy mnie odbierali, dowozili... Później krążyłam już sama autobusami, tramwajami, pociągami. Późno wracałam do domu, a następnego dnia normalnie na 8 szłam do szkoły. Lekcje odrabiałam pomiędzy albo po powrocie. W szkole baletowej – około trzech godzin tańca: taniec klasyczny, taniec współczesny, taniec charakterystyczny, repertuar klasyczny, akrobatyka – tancerz musi być wszechstronny. W soboty również mieliśmy kilkugodzinne zajęcia.

B.K.: Zawsze miałam poczucie, że brakuje mi czasu na naukę dla dzieci, bo przyjeżdżają do nas na parę godzin trzy-cztery razy w tygodniu. W państwowych szkołach, w których też pracowałam ponad 20 lat, mieliśmy dzieci na zajęciach codziennie, i też nam brakowało czasu. Dlatego też musiałam stworzyć taki program, by w krótkim czasie uzyskać efekty. W wakacje mamy obóz baletowy i intensywny kurs w czasie zimowych ferii.

Wydaje się, że to katorżnicza praca! Bez ustanku! Jak więc dba o siebie artystka baletu?

N.W.: Jak się jest dzieckiem, to się o tym nie myśli. Później wraz z dorastaniem, z dojrzewaniem trzeba zacząć uważać. Pokutują stereotypy – że baletnice się głodzą. Przecież my się godzinami ruszamy, musimy jeść!

B.K.: W naszej szkole prowadzimy akcję promującą zdrowe odżywianie się. I nie chcemy, żeby to była dieta, chcemy, żeby to była norma. Uczymy się czytać etykiety na produktach spożywczych, dokonywać dobrych wyborów przy zakupach żywności, budować zdrowe nawyki.

N.W.: Zdrowe odżywianie weszło mi w krew, jest dla mnie czymś oczywistym. Nie jem niczego, co jest wysoko przetworzone!

B.K.: Uczniowie poznają historię baletu, tworzą własne scenariusze do wymarzonych spektakli baletowych. Projektują kostiumy. Dobrą tradycją w szkole jest chodzenie na spektakle baletowe: kilka razy w roku dzieci zaprowadzamy do Teatru Wielkiego. Oglądamy wspólnie spektakle, potem je omawiamy. Nasze dzieci, nawet jeśli w przyszłości nie będą tańczyć na profesjonalnej scenie, to będą wspaniałymi odbiorcami tej sztuki.

Pani znalazła czas na to, żeby urodzić dzieci. Kiedyś to było niemożliwe?

B.K.: Baleriny XIX-wieczne czy największe baleriny XX wieku poświęcały się i nie rodziły dzieci. Panowała ogromna konkurencja, za plecami wybitnej baleriny czekały w kolejce następne – młode, utalentowane. Oddanie swojej dominacji, chociażby na kilka miesięcy, powodowało, że na swoje miejsce trudno było wrócić. Już tak nie jest. Prawie wszystkie wielkie polskie baleriny mają dzieci. Tancerki w tamtych czasach, bezdzietne, często umierały w samotności. Współczesna kobieta musi sobie radzić i z pracą, i z wychowaniem dzieci – nasz zawód nie jest inny.

Joginki ponoć łatwiej rodzą. A tancerki?

B.K.: Nasza sprawność fizyczna, codzienny trening w pokonywaniu bólu nam na pewno pomagają. Kiedyś usłyszałam zdanie, że jak raz poćwiczysz na puentach, to będziesz wiedziała, jak się rodzi. Ale to nieprawda. Może kiedyś, gdy nie było wkładek silikonowych, »

BEATA KSIĄŻKIEWICZ

– pedagog, choreograf, profesor Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie, twórczyni i dyrektor Szkoły Tańca i Baletu „Fouetté” i Niepublicznej Szkoły Sztuki Tańca „Fouetté” w Poznaniu. W 1977 r. skończyła Państwową Szkołę Baletową i rozpoczęła studia w Instytucie Sztuki Teatralnej w Moskwie na Wydziale Pedagogiki i Choreografii Baletu. Prowadziła zajęcia z dziećmi, młodzieżą oraz szkolenia pedagogiczne w wielu krajach

NATALIA WAWRZYNIAK

– w 1997 roku rozpoczęła edukację baletową w Szkole Tańca i Baletu „Fouetté” pod kierownictwem dr Beaty Książkiewicz. Po ukończeniu poszła na studia choreograficzne w Warszawie i jednocześnie zaczęła pracować w szkole jako pedagog



to bardzo bolało. Owe wkładki są jak balsam dla stóp, dopasowują się do ich kształtu. Ta najnowsza technologia bardzo ułatwiła pracę w technice na puentach.

Jak baletnica czuje swoje ciało?

B.K.: Wydaje mi się, że pewne rzeczy wykonujemy podświadomie. Że wypracowany przez lata gorset mięśniowy, który obudowuje kręgosłup, nie pozwala nam na przykład na brzydkie siedzenie, garbienie się. No, chyba że leżymy na kanapie – nogi do góry, żeby odpoczywały – w dresie, to wtedy rozluźniamy swoje ciało. Ale tak życiowo? Nie wyobrażam sobie, żeby uczennica ze szkoły baletowej szła ulicą, zamiatając nogami, zgarbiona. Mówię im: „Jesteście w treningu prawie 24 godziny na dobę: kiedy wstajecie rano, przyjmujcie właściwą postawę, bo już trenujecie mięśnie, już robicie coś dobrego dla swojego ciała”. Kiedy mamy możliwość, to się rozluźniamy. Ta kontrola własnego ciała to bardzo przyjemne uczucie. Świadomość, że to my nim rządzymy, a nie ono nami.

Często myślicie o tym, że może wam się przydarzyć kontuzja?

B.K.: Nie, takich myśli nie ma. Na pewno, jak się chodzi po Starym Rynku w Poznaniu po kocich łbach w szpilkach, to trzeba się troszeczkę zastanowić (*śmiech*). Ale silne stawy skokowe nam w tym pomagają. Podczas zajęć praktycznie nie zdarzają się kontuzje.

To wy chadzacie na obcasach?

N.W.: Moje koleżanki zawsze się dziwiły, że ja tyle czasu potrafię w szpilkach wytrzymać!

B.K.: A to jest właśnie siła stawu skokowego – dokładnie to samo potrzebne jest na puentach, silny staw skokowy nie powoduje zwichnięć i nadmiernych wychyleń, które mogą skończyć się jakąś kontuzją.

Chyba chcecie mi też powiedzieć, że rywalizacja w waszym zawodzie już nie jest taka jak niegdyś. Nie wierzę!

N.W.: Hierarchia baletowa zawsze wzmaga rywalizację. U nas w szkole byłyśmy bardzo zżyte, łączyła nas przyjaźń, wspierałyśmy się nawzajem i cieszyłyśmy się z sukcesów innej. To była zdrowa rywalizacja. Po skończeniu szkoły nie zdecydowałam się na karierę tancerki w teatrze, wybrałam tę ścieżkę pedagogiczną. Zainspirowała mnie pani dyrektor. Poszłam więc na studia choreograficzne w Warszawie, jednocześnie zaczęłam pracować w szkole jako pedagog. Poczulałam, że to jest ta moja droga. Uczę teraz dzieci tańca klasycznego oraz jazzowego i jeszcze studiuję pedagogikę baletową na Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina w Warszawie.

Jakby miała pani dać parę takich rad dla początkującej, wchodzącej w życie zawodowe tancerki...

B.K.: Nic nie jest nam dane na zawsze. Ciało cały czas musi być stymulowane, musimy się rozwijać, nie tylko jeśli chodzi o naszą fizyczność, ale przede wszystkim wewnętrznie. Rozwijajmy się przez interesowanie się sztuką na co dzień. Muzyka, która towarzyszy nam w pracy, bardzo nas uwrażliwia i może inspirować. I dbajmy o siebie i o swój zdrowy tryb życia, bo to nam zapewni sprawność i zdrowie na wiele lat. ●